



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGA WĘDKA.

Z prawdziwie gorączkowym zajęciem się, nie żałując trudu, fadygi i kłopotów wszelkiego rodzaju, zakrzętałi się panowie i panie około urządzenia rautu, z którego dochód miał zasilić kasę pożyczkową dla Nauczycielek i Bon znajdującą się przy Warszawskim Towarzystwie Dobroczynności. Nie mamy potrzeby mówić, a właściwie powtarzać tego, cośmy już dawniej powiedzieli, że owe nauczycielki i bony, te istoty tyle przynoszące dobrego społeczeństwu, oddające częstokroć najpiękniejsze lata swej młodości kształceniu młodego pokolenia, wynagradzane lichem, byleby tylko z głodu nie zemrzeć, stąpające po drodze nie różami weale usłanej—gdy przychodziła choroba lub jakakolwiek zła chwila, w której ukazała się potrzeba zasiłku: nie miały dokąd się zwrócić po pomoc, o ratunek, któryby był im dany bez podrażnienia ich uczuć wstydu, tak naturalnego w wypadkach podobnych. Założenie owej kasy pożyczkowej, należy do jednej z zasług ś. p. Kassylidy Kulikowskiej, dalszy jej rozwój zostawiła następczyniom swoim i tej ofiarności ogółu, która w podobnych wypadkach nie zawodziła nigdy.

Żeby powiększyć niewielkie zasoby, zrodziła się myśl rautu. Dorzeczy wzięto się energicznie, pokonano wszystkie prawie następczające się trudności, wezwani literaci i artyści nie odmówili swojego udziału, publiczność w ściśniętych szeregach stanęła do apelu i olbrzymia sala ratuszowa przepełniła się doborową publicznością, na galeriach tłok, na dole ścisł nie bywały prawie. Ponieważ zaś piękna sala ratusza pomieścić w sobie może przeszło 1.200 osób, mając też na uwadze wysokość cen biletów, bo wejście na salę od dwóch do trzech rubli wyno-

siło, miejsca zaś na galerji po rublu: mimo nie małych kosztów, których oczywiście uniknąć nie można—zysk czysty musi weale poważną pochwalić się liczbą, co też było głównem zadaniem omawianej przez nas zabawy.

Muszę jednak być sprawozdawcą sumiennym i prawdy nie ukrywać pod korcem. Nie chodzi tu o moje osobiste wrażenie, jakie wyniosłem z zabawy, ale o głosy publiczności, które o mój się słuch obily, o jej zdania i sądy, zadowolenie lub niechęć, często ostrą krytykę skierowaną pół głosem do urządzieli rautu.

To trudno! z głosami temi liczyć się trzeba. Publiczność ma swoje wymagania, kaprysy i fantazy, od niej reszta zależy poparcie każdej sprawy, do niej też zwracamy się, jeżeli chodzi o rzecz jakąś ogólniejszego znaczenia. Żądając od niej pieniędzy, musimy jej dać coś w zamian: chwilę wesołości czy śmiechu, słowem to, coby ją po raz drugi zachęcić i pociągnąć mogło.

Program rautu był niezwykle interesujący, nazwiska uczestników biorących czynny udział w zabawie, zaintrygowały już tłamy, sympatyczny cel dokonał reszty.

Bo czegoś brakło?

Literackie artykuły były opracowane wybornie, niejedna nawet prawdziwa perła znalazła się między niemi; Lutnia wystąpiła z przesłanym „Dzwonem wieczornym“ Moniuszki i „Ptaszną Söderberga“—nie brakło i muzyki fortepianowej, której wykonawczynią była pani Hohendlingerowa, nawet i obrazy niktące Ryszkiewicza do doskonałej, mitologicznej Gawałewicza fantazyi—mogły zabawić zgromadzoną liczną publiczność. Tymczasem publiczność ta znużyła się; znaczna jej część w połowie rautu opuściła salę, a reszta, z musu niejako dotrwała na miejscu, narzekając na nudę.

Co było temu przyczyną?

Na pierwszym planie postawiłbym obszerność sali i jej złą akustykę, która nie pozwalała głosem,

szczególnie niewieściom, rozbrzmiewać w całej pełni; dalej charakter zebrań rautowych, na które publiczność nie dąży w skupieniu ducha, jak to bywa podczas odczytów: na rautach spotykają się znajomi, następują powitania, przyciszona rozmowa, która w głuchy szum się przemienia i mimo wszelkich gardłowych wysiłków deklamatorów, stanowczo ich zagłusza; następnie długość programu i niektórych artykułów czytanych, które, nie mogąc być dosłyszczanymi przez znaczną część uczestników zebrania, straciły dla nich wszelkie znaczenie, a nie mogąc być usłyszane, dały wodze swobodnej rozmowie, bo—nudzić się nie miło. Naszem zdaniem, na rautach podobnych lwia część mieć musi śpiew i muzyka przeplatane krótkim wierszem, lub jakąś humoreską równie krótką a z życiem wypowiedzianą. Antrakty powinny być częste, zabawa zaś nie przeciągać się po za dwunastą po północy. Zebrana publiczność na minut pięć uwagę kupić może—dłużej, już jest zaciezko, tem bardziej, gdy się nie słyszy. Raut jest zebraniem towarzyskiem i z tą formą zabawy liczyć się należy. Panie w balowych strojach nie po to przychodzą, ażeby mileżeć. Powtarzam tu słowa, jakie dolatywały mi do uszu, atakowano mię też nieraz, jako jednego z gospodarzy rautu, zapytując o długość każdego nowego odczytu, czyniąc przy tem rozmaite uwagi, zdradzające pewne niezadowolenie.

Gdyby nie ten odrębny charakter zabawy, nie te szelesty jedwabów i pięknych ramion odkrycia; gdyby—weale nie grzeszna chęć—rozmowy, cichego śmiechu, niewinnych umizgów, słowem—przepędzenia czasu wesoło, do tego, gdyby nie szwedzenie się służby, roznoszącej lody i napoje chłodzące, czego podczas zwykłych odczytów niema, a podczas rautów jest rzeczą nieuniknioną prawie: licznie zebrana publiczność nie narzekałaby na program zabawy, lecz przyznać by musiała, że to, co jej dano z estrady, było przednim kąskiem, szczerem złotem, nie zaś zdawkową, drobną monetą.—Biorący czynny udział w wykonaniu bogatego programu, zrozumieli

prawie od razu, że niemal od pierwszej już chwili zapanował rozdzźwięk pewien między estradą a publicznością; dla tego zmieniono porządek występów, dla tego nawet nie wszystkie numery w całości wykonane zostały. Na dobitkę wszystkiego, profesor Piotr Chmielowski z powodu niezdrówia stawić się nie mógł, dla tej prawdopodobnie przyczyny i p. Miłoz Kotarbiński o wyłączenie siebie prosić musiał.

Z początku jednak nastrój publiczności był doskonały, zabawa zapowiadała się świetnie, lecz gdy poproszono zebranie o dłuższą ciszę, gdy to spokojne milczenie przeciągnąć się musiało—zaprotestowano temu niekrepującym się szmerem, który wprost był niemiłym dla występujących na estradzie. Nie roszyć jednak z tego żadnej pretensji do publiczności. Krótka, lecz bardzo poważna rozprawka napisana przez Piotra Chmielowskiego, a odczytana przez Kazimierza Glińskiego, traktująca o „Indywidualizmie w sztuce“ zapoważna była w danej chwili; przepyszna nowoletka pani Waleryi Marréne, „Przy kominku“, którą bez przesady prawdziwą perłą nazwiemy, i gdy po ukazaniu się swem w druku odczytana zostanie, nie jedno zwichnięte szczęście pożycia małżonków naprawi i tyśiące dobrych a rozumnych myśli nasunie—w danej chwili nie mogła być tak odczuta, jak na to zasługiwała, szmer na sali przeszkadzał autorce w czytaniu, tak, że gdy zbrakło jej głosu musiał ją zastąpić p. Maryan Gawalewicz; urywek zaś komedii pani Zofii Mellerowej, zginął wśród szmeru. Piękny wiersz Hajoty „Legenda Mongrawi“ czytany dzwicznym głosem rozbrzmiewał jeszcze nie źle, siedzący bliżej estrady mogli dobrze słyszeć Ignacego Matuszewskiego, który odczytał swój artykuł: „Estetyka i publiczność“ jak też nasycić się pysznym obrazkiem Jana Maurycego Kamińskiego: „Piątka ze sprawowania“ i pełnym humorem kawałkiem M. Kotarbińskiego, „Z sali posiedzeń“ (odczytanym przez Gawalewicza).

Wszystkie te jednak rzeczy dobre i piękne, dla większej części publiczności stracone były. Bardzo ładna fantazja mitologiczna „Filon i Baucis“ napisana przez Gawalewicza z ilustracjami J. Ryszkiewicza—zwróciła na chwilę uwagę zebranych gości, lecz że zadługo trwała, a głos, wytrawnych nawet artystów (Roland, Bogusławska i Bolesłowski) nie mógł przebiec wzdłuż sali: na jej końcu więc gawędzono jak najlepiej i przeszkadzano nawet tym, którzy szczerze wysłuchać by chcieli. Nie doznała tylko zawodu Lutnia i pani Hohendingerowa. Na rautach najwłaściwszą jest muzyka—muzykę więc słuchano.

Pomimo jednak dających się tu i tam słyszeć głosów niechęci, mamy nadzieję, że publiczność łatwo przebaczy mały błąd popełniony w zastosowaniu programu do rodzaju zabawy, lecz ocenić potrafi podjęte trudy inicjatorów i wykonawców, tem bardziej, że cel w zupełności osiągnięty został, za co podzięką nie mała należy się tym, którzy tak tłumnie nawiedzili duże salony ratusza. Daliście pieniądze, brać literacką i artystyczną dała swój trud i pracę—kassa pożyczkowa dla nauczycielek i bon, dostała poważną zapomogę, a jeżeli to i owo nie zupełnie wedle waszej wypadło myśli, toż przecie doskonałości nie masz na bożym świecie, a pocieszmy się tem, że niejednej pracownicy czy z łez otarte zostaną, że hasła miłosierdzia Warszawa zawsze wierną była i będzie.

Muszę tu zrobić małą uwagę, właściwie, wytłumaczyć się, dla czego, zamiast bezgranicznej pochwały, pozwoliłem sobie nakreślić słów parę o przemianionym już raucie, słów lekką krytyką zaprawnych. Rzecz się tak miała:

Jeden z dziennikarzy zapytał mnie:

— Będziesz pan pisał o tym raucie?

— Z obowiązku kronikarza—odpowiedziałem.

— Publiczność trochę sarka.

— Tak—potwierdziłem.

— Ale o tem pan nie a nie nie wspomnisz?

— Dla czego?

— Ale broń Boże?

— Ale dla czego, rzeknij pan!

— Bo widzicie, może jeszcze niejednen raut urządzić przyjdzie.

— Zatem?

— Po co publiczność zrażać?

— Pisząc dytyramby—odrzekłem—czy oszukamy kogo? Przecież ci, co się dajmy na to, znudzili, oszukać się nie dadzą. Przeciwnie, niech wiedzą, że jeżeli kiedy będziemy urządzali raut drugi, potrafimy zupełnie już zastosować się do wymagań publiczności i znudzić się jej nie pozwolimy. To proszę cię i praktyczniej. Sądzę, że temu nikt nie zaprzeczy.

— No—rób więc, jak chcesz!

— Zwykle tak robię...

I oto szczerze i otwarcie napisałem, że publiczność nie zupełnie została zadowolona, że pomimo najcenniejszych prac, jakieśmy odczytywali, nie wszystko według jej woli wypadło; że wymagania rautu, jako towarzyskiego zebrania są inne, od odczytów, na których musi być cicho i spokojnie.— Nie był to może błąd, lecz zapomnienie; przypominały mi zaś o tem panie, które drogo za stroje u Hersego zapłaciły, przygotowały piękne usteczka do uśmiechów, a oczy do figłów niewinnych.

Sprzeczać się z wami nie będę, piękne panie—słuszność i tym razem jest przy was.

Mówiąc o koloniach letnich „Kuryer Codzienny“ bardzo ciekawą i będącą na dobie poruszył kwestyę, którą, dla jej ważności nie wahamy się powtórzyć i szerszemu ogółowi do wiadomości i namysłu podać. Rzucone zostało pytanie: „czy tylko dzieciom sfer najbiedniejszych potrzeba latem powietrza i słońca, woni łąk i lasów, kąpeli rzecznej i tej swobody wiejskiej, o której mieszkańcy wielkiego miasta ze słyszenia tylko coś wiedzą? Zamożniejsza część mieszkańców Warszawy, przez czas letnich miesięcy wyjeżdża na wieś, lub w góry, albo do kąpeli zagranicznych. Większa jednak część miasta, należących do tak zwanej klasy średniej, jak urzędnicy, dziennikarze, średnio zamożni kupcy i przemysłowcy, nie mogą sobie pozwolić na zbytek taki, jak wyjazd na letnie mieszkanie. Zajęcia, obowiązki przykrywają ich przez rok cały do miejskiego bruku i dzieci ich nawet w lecie nie mają możności odetchnąć czystym powietrzem wiejskiem nie zatrutem miazmatami miejskimi, wykapać się dowoli w czystej wodzie strumienia i czystszych jeszcze promieniach słońca.

To jednak, co niemożliwym jest dla jednostki, z łatwością nieraz skutecznie się daje siłami zbiorowymi.

Sądzimy więc, że w tym wypadku, niezależnie od kolonii letnich dla dzieci najbiedniejszych, kolonii, urządzonych filantropijnie kosztem ogółu, dałoby się zorganizować za prywatne pieniądze interesowanych, tutaj rodzicom ze sfer średnio zamożnych jedną lub parę kolonii dla dzieci z klasy inteligentnej, których rodzice nie mogą sami opuścić latem miasta i nie mają na wsi bliższych znajomych, którym mogliby powierzyć swe dzieci.

Kilkanaście lub nawet kilkadziesiąt rodzin takich mogłoby wspólnym kosztem wynająć odpowiednie pomieszczenie na wsi, znaleźć dla pociech swoich jednego lub paru opiekunów, czy opiekunek i wysłać je na wieś na świeże powietrze i swobodę, po zapas sił na zbliżające się lato ciężkiej nauki szkolnej.

Myśl godna poparcia i szczerzego zainteresowania się przez tych, których dobro ich własnych dzieci na sercu leży. Chwile niemowlęstwa są to najważniejsze dla późniejszego człowieka. Zapas sił i zdrowia, jakimi się w dzieciństwie człowiek zaopatry, stanowi nieraz o jego szczęściu w przyszłości. Cherlak w latach dojrzałych, nie wierząc, ażeby był dzieckiem zdrowym. Nie nabywa się sił później, lecz się nabyte rozwija. Przyczyn wszelkich niemal dolegliwości i chorób późniejszych potrzeba szukać w pierwszych dziecięcych latach, jeżeli tu w grę nie wchodzi spadkobierstwo po rodzicach chorowitych. W tych wypadkach nawet, umiejętne hodowanie dietety, oddychanie powietrzem świeżem dużo słońca i ruchu na słońcu—wiele śladów złego dziedzictwa zatrzeć może, a jakkolwiek herkulesami nie staną dzieci słabych rodziców, bądź co bądź, niezłem jeszcze zdrowiem pochwalić się będą mogły.

Przypatrzmy się tej dziedzinie miejskiej.

Blade, nędzne, chude—o toż przecie z każdego z nich mąż wyrosnąć powinien, lub matka dająca życie nowemu pokoleniu.—A nie mówimy tu o klasie wydziedziczonych, o tej zaułkowej nędzy tak srogo przez los pokrzywdzonych. Są to dzieci, mniej więcej tych ludzi, którym na pewnych, mate-

ryalnych środkach nie zbywa, tylko, że ich do mejscy przykuwa praca, nie możność z tej racji wydalanie się z miast, utrzymanie za miastem dzieci i—siebie.—Wszystko jednak zrobić można siłami zbiorowymi, a jeżeli można, zrobić należy. I dla tego podjęliśmy na tem miejscu dobrą myśl dziennika, bo patrzeć tylko, jak śnieg strumieniami ze wzgórz i lasów spływa, srebrnymi głosami odezwa się skowronki, nabrzmiały liśćmi pączki drzew się rozwijają, zazielenięją pola i gaje, a dobre słońce rzuci pełne promienie ciepła i światła. A jak do tego światła, do tego ciepła stęskniona garnie się dziatwa! Instyktownie czują małeństwa, że to ich skarb największy, jedyny może, z którego w ciągu całego życia czerpać im przyjdzie.

Z radością dowiadujemy się, że w niektórych okolicach naszego kraju zakładają się prywatne czytelnie wiejskie. Grono inteligentnych, a sąsiadujących z sobą ziemian, zobowiązało się do składki rocznej na zakup książek. Jeżeli osobników jest, przypuścimy, dwunastu, a każdy z nich złoży jednorazowo po rs. 10, to utworzona suma rs. 120 rocznie, daje już możność nabycia pewnej liczby dzieł, odpowiadających potrzebom danej okolicy. Nabyte w ten sposób dzieła dzielą się na dwa nabyte seryj, odpowiednio do ilości czytelników—po 5 lub 6 książek w każdej, zależnie od ilości zakupionych książek. Każda z tak utworzonych seryj przechodzi kolejno od jednego do drugiego dwora, zatrzymując się w każdym domu przez miesiąc. Tym sposobem w ciągu roku wszyscy uczestniczący w składce ziemianie, mają możność przeczytać po kolei wszystkie nabyte książki. Przy końcu każdego roku następuje rozlosowywanie nabytych dzieł.

Wiadomość o tem ucieszyła nas niewymownie, bo umiano sobie poradzić. Przykład ten powinien znaleźć naśladowców, byleby tylko panom inicjatorom nie zabrakło wytrwałości i zachęty, bo to każdy początek trudny i czasem potrzeba kuć zimne żelazo. Zasługa wprawdzie za to większa, lecz i mozolniejsza praca.

Ostatnie miesiące przyniosły nam strat nie mało. Śmierć obfite miała żniwo. Bolesnie nas dotknęła wiadomość o zgonie Ojca Prokopa, człowieka świętobliwego i znakomitego pisarza. Tak zżyliśmy się z tą postacią, że ta śmierć cicha nieopisanym smutkiem nas przejęła. Do strat też nie małych zaliczyć musimy i śmierć artysty-rzeźbiarza Andrzeja Pruszyńskiego, twórcy Chrystusa przed kościołem Św. Krzyża. Był to artysta niepośledniego talentu, do tego człowiek znaczny, który umiał pozyskać miłość i szacunek powszechny. Przed laty jeszcze dawnymi, po swoim powrocie z Rzymu, osiadłszy w Warszawie, już jej nie opuszczał. Nie szukał laurów za granicami kraju, talent swój tu poświęcił, tu żył, pracował i umarł. Wiekopomnem dziełem jego zostanie wspomniany posąg Chrystusa; szkoda tylko, że wykonany z cementu, ulegający tak szybko zębowi czasu. A mówiono tak dużo o brązowym odlewie.

Czy zapomniano już o tem?

Czas przypomnieć i utrwaleniem tego dzieła dać wyraz hołdu naszemu zmarłemu rzeźbiarzowi.

Kobieta w Stanach Zjednoczonych.

III.

Ujawszy w drobne swe ręce ster wielu spraw społecznych, obywatelka amerykańska nie lekceważy żadnego środka, który wpływ jej ugruntować lub rozszerzyć może. Cywilizacja bez literatury, sztuki i życia towarzyskiego, martwą jest; te trzy zaś najpotężniejsze jej czynniki, te trzy kwiaty ducha ludzkiego, przeszły w Stanach Zjednoczonych pod niepodzielne prawie panowanie kobiety.

Wśląd więc za obrazami szerszej działalności, pokazuje nam pani Bentzon salony Bostonu. Wykwintne Ateny amerykańskie, bo na taką nazwę miasto to zasługuje, szczytą się kilku ogniskami ruchu towarzyskiego; najwybitniejszym jednak i naj-

znamienniejszym jest salon literacki pani J.-T. Fields. „Mówić o mrs. Ward-Howe, o pani Agassiz, o pani Ticknor i mrs. Fields, — powiada nasza podróżniczka, — znaczy to mówić: o ruchu społecznym, o wykształceniu, cywilizacji, poezji i miłośnictwie Bostonu; bo będąc głównymi spraw owych przedstawicielami, panie te muszą uwagę ogółu do siebie przykuwać“.

Mrs. T. T. Fields jest wdową po wielkim wydawcy bostońskim, Jamesie Fields, który szczylił się przyjaźnią najślynniejszych autorów swojej epoki. Zona jego, obdarzona niepoślednim talentem pisarskim, potrafiła nie tylko tradycję przyjaźni utrzymać, lecz zdołała zamienić dom swój w ognisko życia umysłowego, w jeden z tych salonów literackich wielkiego stylu, jakimi niegdyś słynęła Francja. Najwybitniejsze umysły wieku, szukały lub szukają tu wytechnienia: Hawthorne, Emerson, Longfellow, Wendell Holmes, Sara Jewett, T. B. Aldrich, pułkownik Wentworth Higginson i cała plejada młodszych talentów nadaje salonowi pani Fields arak niespożyty. Każda ważniejsza reforma, każda myśl szlachetniejsza, tu powstawała lub pierwsze znajdowała echo i ztąd dopiero w świat biegła. Skromność i prostota salonu tego a zarazem artystyczny jego wykwint, chwytają za serce gościa europejskiego, o ile potrafi on zdobyć wstęp do owego zaczerwanego pałacu talentu i sławy.

Nie ma więc dziedziny, w której kobieta amerykańska nie umiałaby ująć berła. Nauka i reformy społeczne, literatura i sztuka, prawda i piękno, ucieszeni, maluczy i nieszczęśliwi, cała jednym słowem moralna, etyczna i estetyczna strona życia, znajduje w niej gorącą popieczniczkę i przedstawicielkę. Żałujemy, iż rozmiar pracy nie pozwala nam zatrzymać się nad rozdziałami, poświęconymi filantropii amerykańskiej; spotykamy się tu bowiem z urzędzaniami, zupełnie nieznanymi w Europie. Społeczeństwo Nowego Świata tak dalece nie znosi nędzy, że człowiek obdarty nie ma nawet wstępu do kościoła. Wzajemnie jednak stowarzyszenia filantropijne myślą o tem, aby nikt obdarty nie był. Państwo miłujące nad wszystko swobodę, a na wolności oparte, ma jednak taki wstręt do żebrania i próżniactwa, iż włoścogów *bierze w niewolę* i zmusza do pracy na korzyść ogółu. Ztąd śliczne *workhouses*, domy pracy, budowane na wyspach a przeznaczone dla nędzarzy, których policja więzi, za wyciąganie ręki, i tu odsyła.

Na czele domów tych stoją damy, z najlepszego towarzystwa rekrutowane. Od niemowlęcia, podjętego na ulicy i karmionego sztucznie, aż do starca, weterana ostatniej wojny, od cichego poddasza do nor ostatniej nędzy i występku, do cel więziennych morderców i zbrodniarzy, wszędzie tu spotkacie wpływ kobiety, jej dłoń opiekuńczą i niestrudzonego ducha. Śliczne są niektóre obrazki, opisywane przez panią Bentzon. Oto np. gromada najdzikszych uliczników, zebrana przez delikatną i wykwintną studentkę Harvard'u. Co zrobić z tą rzęsą niesforną, zezwierzęconą? Jak zbudzić ducha uspiętego i tehać w niego pierwiastek ludzki, uszlachetniający? Poczuciem obowiązku zagrzane, dziewczę bierze się na sposób: Oto łobuzy ci, z nor ciemnych zrekrutowani, dostają chwilowo jaskrawe mundurki żołnierskie, kaski złoczone i pałasze z drzewa, przyczem wykwintna studentka, z humorem kolegi-łobuza a wprawą weterana uczy ich mustry. Gra w żołnierzy, toż to marzenie każdego dzieciaka. Więc bawią się zawzięcie, lecz wśród zabawy tej dowiadują się, że ambicya żołnierza nie daje mu być brudnym, nieuczczonym, wstrętnym; że honor żołnierza nie pozwala kraść, że szabla to broń zaszczytna, której się nie dotyka dłonią zbrukaną. Dzieciak, zachęcony wesołą zabawą i barwnym strojem, wraca nazajutrz trochę czystszy a po miesiącu lub dwóch owej imaginacyjnej mustry, piękna miss zapisuje go najczęściej do szkoły, spokojna że jednego zbrodniarza *in spe* ubył światu.

W innym przytulku zabawa wre i kipi; dzieci robią chorągiew. Chłopcy strużą drzewce, dziewczynki zszywają sztandar. Wysmukła miss, córka jednego z wydawców przyniosła i podarowała materiały, uczyć, jakimi barwami je dobierać. Kto najlepszą chorągiew zrobi, ten ma prawo wziąć ją sobie do domu. Za drobną ilustrację do zabawki, służą opowiadania z historii Ameryki, oraz

tłumaczenie czem taki sztandar dla każdego uczciwego człowieka być powinien...

Następny wreszcie przykład, polecamy, jako dobry pomysł naszym filantropkom.

W najuboższych dzielnicach miast amerykańskich, panie tamtejsze zakładają rodzaj gospody, w której członkowie danego kółka dyżurują z kolei. Do gospody wstęp wolny każdemu. Jedni przychodzą tu posilić się, za grosz ubogi, órudzy zabić spokojnie, matki zostawiają tu dzieci, gdy im się z domu nagle wydalicie wypadnie, a ludność cała szczególniejszą, dąży tu po rady i wskazówki gospodarce, po drobną pomoc itp., co razem wytwarza stosunek zaufania i wzajemnego oddziaływania na siebie, oraz wpływu inteligencji na biedaków. Nadmieniamy, iż gospody owe urządzone są z pewnym wykwintem, który nie rozgorycza jednak serca nieszczęśliwych, lecz je raduje; wszak tych firanek, tych kwiatów oni sami używają; dla nich zostały tu założone. Oddziały kobiece są przytem zupełnie odosobnione od męskich. Te ostatnie zakładane bywają najczęściej w sąsiedztwie ognisk robotniczych, jednoczą zaś pracowników i kapitalistów a nawet uczonych.

Gdy do tego wszystkiego dodamy dobroczynność na wskroś światową, opartą na rautach, wentach, balach i bazarach, gdy uwzględnimy, że życie klubów i stowarzyszeń bardzo czas pochłania, przychodzi mimowoli zapytać, kiedy kobieta amerykańska poświęca się obowiązkowi: żony, matki i pani domu, obowiązkowi tem trudniejszym, że służba jest nader kosztowną i do zbytków należy.

Pani Bentzon wyjaśnia to z łatwością. Oto obywatelka Stanów Zjednoczonych oddaje się celom publicznym dopóki jest niezamężną i następnie gdy dzieci jej zaczynają już do szkół chodzić. Ponieważ, według praw miejscowych, wykształcenie odbywa się od lat najwcześniejszych kosztem państwa, przeto przychodzi chwila, w której szkoła zabiera dzieci, a matka ma znów, przez długie lata, cały dzień wolny. Kobieta też w ogóle, żyje tu w zamknięciu domowem, tylko przez czas niemożliwość swych synów lub córek.

Jak dalece zaś czuje się obywatelką, do jakiego stopnia umie ukochać sprawy publiczne, kwestję nędzy i oświaty, świadczy najlepiej statystyka zapisów dobroczynnych w Stanach Zjednoczonych, ogłoszona niedawno przez Dr. Holub'a, znanego czeskiego podróżnika. Zaznacza on, iż ofiary na rzecz ubogich doszły tam w 1893 r. do poważnej sumy 79,967,670 złr. w tem zaś do najznaczniejszych należały: pani Hirandy Lust, z San Francisco, na szkoły przemysłowe i pani Iry P. Errington, z Portland, na cele społeczne. Nie mniejszą ofiarę, 1,40,000 złr. złożyła pani Kate M. Johnson, z San Francisco, na nędzę i oświatę publiczną.

I w tej więc dziedzinie kobiety amerykańskie nie dają się ubiedz nikomu: cele publiczne idą zawsze przed własnymi, dobro ogółu stało się oddawna dumą ich i ambicyą, dumą od pierwszego technienia przez matkę im wpajaną.

Wracając do dzieła pani Bentzon, musimy dodać, iż kładzie ona nacisk na przepracowanie kobiet amerykańskich, na częste wyczerpanie organizmu i rodzaj neurozy, której lekarze nadają specjalną nazwę *americanitis*. Nadmienić jednak należy, że i mężczyźni, pochłonięci krwiożerczą walką o byt, prowadzą życie również gorączkowe. Ztąd roi się tu od domów zdrowia, a kobieta znów, miss Call, wynalazła nowy sposób leczenia, przez absolutną ciszę i spokój. Ciekawa książka jej, tłumaczona ową metodą kuracyjną, nosi tytuł *Power through repose*. Miss Call stara się leczyć ciało i duszę, przeciwstawiając niestrudzonej woli dzisiejszych bojowniczek, spokój chrześcijański, rodzaj kwietyzmu filozoficznego, wywołaną przez samą reakcję ducha i ciała.

Ta nauka chrześcijańska, wyłożona w dziele pani Coolidge (*The modern expression of the oldest philosophy, by Katharine Coolidge, Boston*), przeciwdziałająca gorączce czynu przez spokój ducha i lecząca ciało środkami czysto moralnymi, zaczyna zjednywać sobie za oceanem mnóstwo adeptów. Nie pomylimy się chyba, zbliżając zasady tego neoechrześcijaństwa z ostatnimi reformatorskimi pracami pracami hr. Lwa Tołstoja. Tu, jak tam, chodzi jedynie o przypomnienie światu zasad etycznych, zapomnianych wśród wiru walki życiowej,

która nas wszystkich poniekąd porywa i unosi często aż do granicy bezdroża.

Pani Bentzon protestuje przeciwko dążności do zakładania coraz nowych klubów kobiecych. Dotychczasowa ich liczba, szerząc ducha parlamentaryzmu, karność, organizacyi i poczucie obywatelskich, oddała nieocenione usługi niewieściemu kołom Ameryki. Dalszy jednak rozwój i mnożenie instytucyi podobnych wywoła mimowoli podział na koterie, tak szkodliwy wszędzie, gdzie celem zgromadzeń podobnych ma być rzeczywiste dobro społeczeństwa.

BLUSZCZ

OBRAZEK Z ŻYCIA RODZINY

przez

Maryana Gawalewicz.

(Dalszy ciąg).

Kiedy nad wieczorem wreszcie zadzwieżał dzwonek, Grosiecki wyprzedził służącą, aby otworzyć drzwi wyczekiwanemu gościowi.

— A, jesteście nareszcie! — powitał Teofila, który zatrzymał się w przedpokoju niezadowolony, jakby się namyślał, czy ma zdjąć palto, czy też tak, jak był, w kaloszach nawet wejść do gabinetu Grosieckiego.

Zdecydował się jednak na to drugie i nie rozbiegając się wcale, wszedł z miną poważną, uroczystą niemal i usiadł od razu na krzeselku pod ścianą.

Nie patrzył na Walerego, jakby miał do niego urazę; głowę odwracał i przyglądał się przez chwilę obrazom na ścianach.

Szedł widocznie prędko po schodach, więc zadyuszony był i tehu jakoś nie mógł złapać, a co pewniejsza, nie chciał pierwszy zaczynać rozmowy.

Grosiecki brwi sięgnął, usta wydał, ręce włożył w kieszenie od spodni i chodził po pokoju, paląc papierosa; usiłował wydać się zupełnie spokojnym i pewnym siebie.

Czekał także pierwszego słowa z ust parlamentarza, chociaż go ciekawość paliła, z czem przychodzi.

Pantofel wytrzymał go przez długą chwilę, nie mogąc się zebrać na odwagę; początek każdej rozmowy bywał mu i tak w normalnych warunkach trudny a cóż dopiero dzisiaj!..

— No, cóż mi miał powiedzieć? — zagadnął go wreszcie Grosiecki, stając przed nim, jak kolos rodyjski na rozkraczonych nogach; — słucham!..

Teofil zaczął chrząkać i poprawiać się na miejscu, w rękę obracał swój duży, czarny, filcowy kapelusz i spuszczał oczy w ziemię, zaczął:

— Ja... tego... jak się nazywa... właściwie tylko...

— No?... słucham! — przerwał mu i nadrabiając miną Walery, — pewnie od niej przychodzisz — domyśliłem się tego. W każdym razie muszę cię uprzedzić, że nie jestem wcale usposobiony do pokojowych układów. W pierwszej chwili, kto wie, może byłbym wyrozumiały, ale teraz — trochę za późno na naprawienie tego, co się stało. Porzuciła dom, poszła sobie, słowa jednego nie powiedziała, niechże sobie samej winę przypisze!..

Myślał, że mu zaimponuje swoją miną i temi słowami.

— Wiedziała przecież, co robi, nie jest dzieckiem więcej! — ciągnął dalej, z emfazą, — czekałam dość długo, aby przyszła do rozumu, teraz mi się to sprzykrzyło i...

Przegarnął włosy wspaniałym ruchem ręki, odwrócił się na pięcie i zaczął znów chodzić po pokoju.

— Skoro nie wróciła do tej pory, — dokończył — to może sobie zostać u kochanej babuni, jak długo zechce. W moim domu niema więcej miejsca dla niej!

Teofil poruszył się niecierpliwie na krześle.
— Kiedy bo... ona... to jest, pani Wicunia... ni-
by pani Grosiecka,—poprawiał się, chrząkając cią-
gle,—wcale nie ma zamiaru wracać.

Walery przystanął znowu uderzony temi sło-
wami.

— Nie ma zamiaru?... jakto?...

— A nie, ani myśli.

— To nie wie chyba, że ja mam prawo sado-
wnie sprowadzić ją do siebie — wybuchną nagle
zmienionym tonem, wypadając ze sztucznej równo-
wagi.—Maż ma prawo do swojej żony!...

— No, nie każdy,—wtrącił Teofil.

— Cóż to znaczy: nie każdy?... co chcesz przez
to powiedzieć?

— Tylko taki...

— Jaki?!

— Taki, który nie ma sobie nic do wyrzucenia,—
wyrzucił wreszcie z siebie Pantofel, zdobywając się
coraz więcej na rezon.

— Ma czy nie ma, maż jest mężem i basta.

Teofil kapeluszem machnął pogardliwie w powie-
trzu i powiedział tylko:

— Eel...

Walerego ten ruch lekceważący uraził.

— Nie eel... tylko tak, jak ci mówię! — zawołał
podniesionym głosem. — Tobo mi się podobało!...
Cóż to, źle jej u mnie było?... katowałem ją, biłem,
morzyłem głodem?... niech przysięgnie, czy jej cho-
ciaż źle słowo powiedziałem!... Nie miała przy
mnie wszystkiego, czego potrzebowała?...

Pantofel powtórzył ten sam ruch, co poprzednio
i znowu tylko, poruszywszy ramionami, odpowie-
dział krótko:

— Eel...

— Głupi jesteś ze swoim; eel!...—rozumiesz?...

Teofil brwi ściągnął i wyprostował się; przez
chwilę twarz jego przybrała wyraz gniewny, suro-
wy, zmierzzył Grosieckiego oczyma i usta mu za-
drżały.

— Ja... ja jestem głupi, ale ty...—zaczął, jednak
się jeszcze powstrzymywał.

— No? dokończ... — wyzywająco, z ironicznym
uśmiechem zmrużywszy oczy, spytał go Walery.

— Ja ci to jeszcze powiem na końcu, tylko
wprzód... tego... załatwię się z czem innym. W każ-
dym razie, choć jesteś w swoim domu, to... radzę
ci, żebyś się... miarkował, bo niby na co... na co ma
między nami przyjść do... do czego.

Jakaś się, ale wypowiedział wszystko takim to-
nem, że Grosieckiemu się twarz przeciągnęła.

Nie przypuszczał w potulnym zwykłe Pantoflu
takiej śmiałości.

— A ty mi w moim domu nauk nie dawaj! —
ostrzegł go, ale głos mu zmógł pomimo surowego
wyrazu twarzy;—jako człowiek honoru nie zniosę
tego!

Po raz trzeci to lekceważące: eel wyrwało się z ust
Teofilowi; rozpiął panto, bo mu się gorąco zrobiło
i szalik odwinął ze szyi.

— Daj pokój, nie udawaj! — przerwał mu,—my
się przecież znamy nie od wczoraj. Lepiej każ mi
wydać to wszystko, co pani Lidzka z panną Stani-
sławą spisały na tej kartce, pościel, bieliznę, suknie
i wszystkie rzeczy, które do twojej żony należą. Po-
tem możesz sobie zostać w swoim domu i robić, co
ci się podoba. Nikt ci tu przeszkadzać nie myśli.

Grosiecki zawiedzony spojrzął na niego; spodzi-
ewał się czego innego po missyi Teofila. Jakto?...
tylko po to przychodził?... tylko takie miał polece-
nie?... więcej nie?...

A jemu się zdawało, że to są wstępne kroki do
układów, że żona przysłała go, aby uzyskać wstęp
do domu, aby nawiązać nową zgodę.

Rzeczy, bielizny, pościeli jej się tylko zachciewa?

— Więc ona wcale wrócić nie myśli? — zawołał
podrażniony,—tak?... dobrze, zobaczymy!... zoba-
czymy, kto na swoim postawi!... chce koniecznie
doprowadzić do skandalu?... dobrze, dobrze, niech
próbuje. Daleko zajadzie, gdy ze mną chce iść na
udrą!... Niech słucha tylko dalej tych wszystkich,
co ją podjudzają, co jej plotki znoszą, jak tyl... Ja
się bez niej obejdem; myśli, że ją prosić będę, aby
wróciła?... O, nie!... o, nie!

Teofil ogryzał sobie paznokieć u wielkiego palea
i słuchał na pozór spokojnie, ale oczy mu błyskały
chwilami jakoś dziwnie i głową robił poruszenia

nerwowe, jak człowiek, który się gwałtem hamuje,
aby nie wybuchnąć.

— Wydasz rzeczy, czy nie wydasz?—spytał spo-
kojnie, nie przykładając niby wagi do słów Wale-
rego.

— Nic nie wydam, kiedy tak, to tak!...—ofuknął
go szorstko,—proszę mnie w domu nie nachodzić.
Niech mi odeszle dzieci w pierw, to potem pogad-
damy.

— Dzieci?

— A tak.

— Na co?...

— Jakto na co?... dzieci są moje, jestem oj-
cem!—zawołał z przesadnym patosem uderzając się
w piersi.

— Przypomniałeś sobie to nareszcie? — spytał
złośliwie Teofil.

— Nigdy o tem nie zapomniałem!

— Eel...

Grosiecki aż drgnął, tak go to „eel“ dotknęło.

— Powtarzam ci, że sobie w moim domu nie po-
zwolę lada komu ubliżyć!—krzyknął,—a to znów co
takiego?... patrzcie go!... taki chłystek będzie mi
tu...

— Co ja jestem?... co?... — zbliżając się powoli
krok za krokiem do niego, zaczął zawsze jeszcze
spokojnie Pantofel.

— Chłystek jesteś! — powtórzył, ale przezornie
zastawił się krzesłem;—proszę mi się wynosić na-
tychmiast z mego domu!... Ja tu pośredników ta-
kich nie potrzebuję, żadnych pośredników mi nie
trzeba! Ma co do mnie, niech sama przyjdzie, a ty
mi się nie pokazuj, plotkarzu!... Zegnam pana!...

Stali naprzeciw siebie przez chwilę, mierząc się
oczyma, jak dwa koty, które mają ochotę rzucić się
na siebie.

Nagle Nero, obecny tej całej scenie zaczął szcze-
kać na Pantofla, jakgdyby stawał w obronie swoje-
go pana i pomagał mu wymyślać.

W sytuacji tak naprężonej sprawiało to efekt ko-
miczny, ale obaj nie byli usposobieni do śmiechu.

Grosiecki z passją kopnął psa, który skowycząc,
odskoczył i schowawszy się pod biurko, warczał
tylko w dalszym ciągu ze spuszczonej ogonem.

Teofilowi palce kurezyły się i szarpały guzik przy
palcie; usta mu pobladły i drżały.

Widać było, że walczy z passją, która go ogar-
niała, ale trzyma się jeszcze.

Ta spokojna, uległa, potulna natura blizką była
teraz wybuchu, który mógł się stać groźnym dla
Grosieckiego.

Jak zwykle ludzie zamknięci w sobie, do zbytku
cierpliwi, pozornie nieśmieli, miewał i on chwilę ir-
rytacji, w których zmieniał się do niepoznania i go-
tów był wystrzelić, jak zapalona mina.

Oczy mu się zaiskrzyły, a pięście zaciskały.

Walery dostrzegł to i przeczuł niebezpieczeń-
stwo; poznał, że zbyt ryzykownie byłoby go dłużej
rozdrażniać, zląkł się ewentualnej awantury we wła-
snym domu.

— Co to jest?—zaczął—napaść?... ja się napaści
nie boję.

— Pst!—przerwał mu krótko, ale z zadziwiającą
energją jego gość, — radzę ci nie podnosić głosu
i wysłuchać, co ja ci powiem.

Obejrzał się, jakby szukał czego oczyma i zapi-
nając panto na wszystkie guziki, zaczął spokojnie
lecz tym głosem drżącym, przyeiszonym, gniewnym,
który świadczył o głębokiej irytacji:

— Ja jestem chłystek?... plotkarz?... i co jeszcze?
A ty?... ty wiesz, czem ty jesteś?... Nie wiesz?... to
ja ci powiem, bo ci tego nikt może dotąd nie po-
wiedział. Ty jesteś—blagier!—wyrzucił nagle na
cały głos, a widząc, że Grosiecki zamierza odpowia-
dać, zrobił znowu krok naprzód i uciszył go groź-
nem:

— Pst!... teraz ja mówię, a ty słuchaj. Blagier
jesteś, bez charakteru, bez uczciwości, bez ambicyi.
Pst!... cicho!... Uważasz się za artystę?... także bla-
ga!... Zmarnowałeś głos, zmarnowałeś najpiękniej-
sze lata, zmarnowałeś schedę po ojcu—blagier je-
steś!... Ja jestem chłystek, ale uczciwy chłystek,
bom nikogo nie pokrzywdził, nikogo nie okłamał,
nikogo nie zdradził,—a ty?... Całe życie kłamałeś
i oszukiwałeś świat, ludzi, matkę, żonę, wszystkich,
nawet siebie samego!... Jesteś w swoim domu, to
już myślisz, że ci prawdy nie wolno w oczy rzucić?..
Żyłeś blagą do tej pory, blagą, blagą, blagą!...

wiesz?... Zmarnowałeś uczciwą kobietę, która po-
szła za ciebie a teraz się stawiasz jeszcze i odgra-
żasz, że jej do domu nie przyjmiesz? Dziękuj Bogu,
żeby chciała do ciebie wrócić i żyć dłużej przy
twojej blade. Ty sztukę kochasz?... ty jesteś ar-
tystą?... ty wymyślasz ludziom od filistrów i od
chłystków?... A ty sam nie masz prawa do tego,
boś ty największy filister i chłystek, który komedję
gra z całym światem i myśli, że wszyscy biorą cię
na seryo, jak te głupie baby, do których przewra-
casz oczy i którym blagujesz swoim śpiewem!... Ja
cię znam od dziecka i wiem, co ty wart!... Blagier
jesteś, blagier, blagier, nie innego, tylko prosty bla-
gier... nieuczciwy blagier do tego!... Teraz wiesz,
czem jesteś!

Zapalił się, zaperzył, poczerwieniał, oczy mu
omal z oprawy nie powyskakiwały.

Z głową wyciągniętą naprzód, z jedną nogą w tył
cofniętą, jakby do skoku pochylony, rzucał mu
w oczy upornie ten jeden obelżywy wyraz z coraz
większym naciskiem i trzymał go przed sobą zmie-
szanego, osłupiałego, zaskoczonego tym nieprzewi-
dzianym wybuchem passyi i weredyzmu.

Nie mógł mu oponować; ogłuszony był słowami
Pantofla i śmiałością, z jaką po raz pierwszy w ży-
ciu w ten sposób do niego przemawiał.

Otworzył oczy i usta szeroko, ale oprócz kilku
słów:

— A to co?... coż to?... Bardzo proszę!—nie wię-
cej wydobyć z siebie nie mógł.

Nero warczał pod stołem, a Pantofel, nie zważa-
jąc na psa, ani na jego pana, mówił w dalszym cią-
gu, nabierając coraz więcej odwagi:

— Całe życie uchodziło ci wszystko, więc my-
ślisz, że ci już wszystko wolno!... Mylisz się. Nie
wolno jest robić podłości, nie wolno korzystać z cu-
dzej wiary, z cudzego zaufania, z cudzej dobroci!...
Psst!... cicho był!... Jeszcze ci coś powiem, czegoś
nie wiedział, że postępowałeś niegodnie ze swoją
żoną. Tak jest, niegodnie!... Miałeś do czynienia
z samymi kobietami, więc jak kogut w kurniku
chciałeś się rzadzić; chciałeś, żeby się wszyscy dla
ciebie poświęcili, wszyscy ci nadskakiwali, ustępo-
wali, boś ty mężczyzna, pan, wielki człowiek!... Fe,
wstyd, hańba!... Zdawało ci się, że się za twoją żo-
ną niema komu ująć, że po za nią nikt nie stoi, ani
ojciec, ani stryj, ani brat, więc możesz sobie pozwa-
lać i robić, co ci się podoba. Tak się nie wyzyskuje
słabszej strony, to niegodne mężczyzny. Ja ci to
mówię, wiesz?... bo nikt się nie śmiał do ciebie ode-
zwać. Z ciebie był maż?... Sułtan był z ciebie. Tak,
tak, możesz się rzucać teraz, gniewać, wściekać ze
złości, ale co wiesz, to wiesz!... Ja się ciebie nie bo-
ję i ciebie nie potrzebuję, to ci mogę raz prawdę
powiedzieć w oczy, a więcej i tak mnie u siebie nie
zobaczysz.

Odwrócił się od niego i kapelusz założył na
głowę.

— Ja jestem chłystek? — rozpoczął raz jeszcze,
nie mogąc strawić tej obelgi, — no, to masz teraz
za tego chłystka! A nie bądź głupi i nie pochwal
się tem, com ci nagadał, schowaj to dla siebie i po-
wórz sobie na osobności, może ci się to przyda!...

— Precz! — trzęsąc się z oburzenia wybuchnął
nareszcie Grosiecki, odzyskawszy przytomność i po-
czucie swojej obrażonej godności, — precz!...

Pantofel zwrócił się nagle i zrobił ruch gwałto-
wny, jak gdyby się zamierzyć chciał na Walerego,
ale w tej samej chwili Grosiecki zniknął w drzwiach
od salonu i zatrzasnął je śpiesznie, przekręcając
szybko klucz w zamku.

— Blagier!... tchórz! — usłyszał jeszcze za sobą,
a w chwilę po tem zaskrzypiały drzwi z przedpoko-
ju i nastała cisza, tylko osmielony Nero wyskoczył
z pod stołu i szczekać zaczął za odchodzącym.

Głucha wściekłość ogarnęła go po wyjściu Teo-
fila; nie pojmował sam siebie, miał minę człowieka,
który we śnie ztoczył się do wody i zmoczony pró-
buje się na brzeg wygramaolić.

— Zwaryował, czy co takiego? — powtarzał so-
bie i zęby zaciskał w bezsilnym gniewie po niew-
czasie.

Nie mógł sobie darować tego, że go za drzwi nie
wyrzucił.

— Ale że ja mu w papę nie dałem! — wyrzucił
sobie, zapomniawszy o swoim szybkim odwrócie do
salonu, nabierając znowu bohaterkiej odwagi, gdy
mu już nie była więcej potrzebną.

— Blagier jesteś, blagier! — brzmiało mu ciągle w uszach i raniło jego miłość własną.

Twarz mu pałała jak po wypoliczkowaniu.

Zdawało mu się, że gdyby miał w tej chwili Pantofla w swoich rękach, byłby go tak zmiażdżył i potargał, jak ten niedopałek papierosa, który pokruszył w palcach i rzucił na podłogę.

Jemu, — jemu powiedzieć, że jest blagierem! — i to kto się ośmielił cisnąć mu w oczy ten wyraz? — taki chłystek, głodomór, takie zero, taki nędzarz, który żyć nie miał z czego, niczem nie był, od którego nawet żadnej satysfakcji nie było można zażądać...

— Właściwie, ściśle rzeczy biorąc, nie warto się było tem tak bardzo przejmować — tłumaczył sobie, — bo obraza z ust jakiegoś tam Pantofla nie mogła być obrazą.

— Fiksat, waryat, bziki!... Któż by się z nim liczył... a potem nie było świadków całej tej sceny, nikt przecież tego nie słyszał.

Przy świadkach zresztą nie byłby śmiało odezwać się w ten sposób, stanowczo nie!

To go pocieszyło; wmawiał w siebie, że może, że powinien nawet być wyższym nad to wszystko, bo ostatecznie albo się czems jest, albo się nie jest.

Mimo to miał znowu całą noc zepsutą i słyszał dokoła siebie, jakby w powietrzu brzęcząca muzykę, ten jeden wyraz, który go prześladował nieustannie:

— Blagier!.. blagier!.. blagier!..

Drażnił, gniewał, bolał go nawet ten jeden zarzut ze wszystkich, które usłyszał, bo w nim było najwięcej jadu i... najtrafniej wymierzony pocisk w ambicję komedyanta.

Nie artysta—tylko blagier, żadna wyjątkowa, nie pospolita natura—tylko blagier, żaden charakter—tylko blagier!

Za ten jeden wyraz żywił śmiertelną urazę do Teofila i uważał go za swojego wroga od tej chwili; znienawidził go, pogardzał nim, postanowił się zemścić, zgrzytał zębami na samo wspomnienie o nim.

A zarazem nowego żalu i urazy nabierał do Wicuni.

— To wszystko przez nią, tylko przez nią mnie spotyka!—myślał, zapominając, że pierwsza przyczyna wszystkich przyczyn leżała przecież w nim samym, w jego postępowaniu a nie w czemkolwiek lub kimkolwiek innym, ale nie chciał się więcej do tego przyznawać, szukał koniecznie kogoś, na którego całą winę mógł zwalić, kogoby mógł oskarżać przed samym sobą a w ten sposób czuć się rozgrzeszonym, wytłumaczonym, usprawiedliwionym.

Humor miał tak skwaszony, że nawet miną nie umiał już nadrabiać.

Przestał bywać u Loursa na czarnej kawie po obiedzie, jak to umyślnie czynił w ostatnich czasach, aby pokazywać ludziom swoją uśmiechniętą i swobodną twarz, którą chciał zamaskować wewnętrzną rozterkę z samym sobą.

Zamykał się w domu, palił papierosy i rozmyślał, albo kładł się na szezlongu i próbował spać.

Zdawało mu się, że na ulicy, w restauracji, w teatrze przypatrują mu się znajomi i nieznajomi jakoś bardzo dwuznacznie, że sobie szepeją coś do ucha, gdy przechodzi, że się uśmiechają i unikają z nim rozmowy, nawet spotkania.

Poczuwał się do czegoś, co go krępowało teraz wobec świata.

— Muszą wiedzieć już wszyscy, że mnie żona porzuciła, — mówił sobie, — ale nie wiedzą pewnie dla czego a nie wypada im pytać się mnie o to.

Któregoś dnia spotkał doktora, który leczył mu dzieci, gdy chorowały.

— Cóż tam u państwa słyhać? — zagadnął go konsyliarz, lubiący pogawędkę na ulicy; — jakże się miewa pan Munieczek i pan Kaziutek?.. a panna Pola?.. zdrowa?..

— Tak sobie, — odpowiedział, nie śmiać spojrzeć w oczy doktorowi, — zdrowe są, dziękuję.

— Trzeba dziatwę teraz pilnować, bo odra panuje. Dużo ząbków ma już córeczka pańska?.. spotkałem kiedyś panią dobrodziejkę, ale zapomniałem się spytać o to. Mizernie mi jakoś wyglądała; może znowu...

— A tak, mizerna trochę.

Urwał jak najprędzej dalszą rozmowę, która stała się drażliwą, bał się zaplątać i musiał kłamać.

Nie mógł przecież sam chwalić się tem, że żony i dzieci nie widział od dosyć dawna, bo go żona z dziećmi porzuciła.

Do signory Bianki wybrał się pewnego popołudnia, ale mu powiedziano, że wyszła; zauważył jednak mężkie palto wiszące w przedpokoju i zmiarkował łatwo, że włoszka znalazła sobie rychło już pocieszyciela i że jej mściwego puginału nie potrzebuje się więcej obawiać.

Na drugi dzień spostrzegł ją na ulicy, powracającą z próby, z nutami w rękę, i nie chcąc się z nią spotkać, wstąpił do bramy!

Była mu już obojętną a nawet przejmowała go jakimś uczuciem odrazy po ostatniej wizycie u niej.

— Gdyby nie ona z tym swoim głupim włosiem wtedy, — myślał — nie byłoby do tej pory całej tej awantury!... potrzebnie mi się narzuciła wtedy ze swoją czułością.

Obwinał teraz i ją o to, że była przyczyną wszystkiego złego, jak obzartuch, który w chorobie wyrzuca sobie ostatnią gruszkę, niepotrzebnie zjedzoną po wystawnym obiedzie, na wety.

Na lekcjach nie miewał teraz swego dawnego humoru i swobody.

Uczennicom, gdy się do niego wdzięczyły i pytały o powód tej zmiany, odpowiadał z melancholijnym uśmiechem:

— Miałem dużo moralnych cierpień w tym czasie. Zdaje mi się, że będę zmuszony wyjechać daleko, na południe, może aż do Ameryki; nie wiem jeszcze.

Starał się być interesującym dla nich przez tę jakąś tajemniczość, którą sobie nadawał.

Do matki chodził codziennie, aby ją pytać:

— Cóż, nie mama nie słyszała?... mówią już o mnie, czy jeszcze nie?..

— No, no, mówią i nie mówią! — wzdychała żałośnie stara, — ze mną to tam nie każdy jakoś może tę kwestyę poruszać, bo nie ma śmiałości, ale się domyślają. To od nikogo, powiadam ci, tylko od Lidzkiej musiało wyjść!... zkażdeby ludzie wiedzieli?

— Pewnie.

— O, to złośliwy język u tej baby; one teraz szkodzą ci będą, aby ci opinię zepsuć. Wspomnisz moje słowa!..

— Dużo sobie robię z tego!..

Robił sobie jednak więcej, niż się zdawało; obawiał się, aby się do niego nie zaczęli ludzie zniechęcać.

I tak stracił dwie najlepsze lekcje na mieście; przypisywał to obiegującym już wieściom o rozejściu się z żoną.

Uważano go za człowieka niebezpiecznego, z którym nie można zostawiać panien sam na sam nawet przy fortepianie; obawiano się demoralizującego wpływu dopiero teraz.

Matka jednej z uczennic dała mu to wprost do poznania, rzekłszy:

— Nie wiem, jak to będzie nadal z temi lekcjami, bo mnie za ciężko teraz wychodzić z domu, a samej nie mogę puszczać Antosi do pana, zwłaszcza jeżeli prawda, że żona pańska... wyjechała podobno?..

— Ale wróci, — pośpieszył uspokoić zakłopotaną mamę, — wróci z pewnością lada dzień.

— Tak?... to się bardzo cieszę, jednak do tego czasu... nie dlatego, abym się obawiała czego, uchwaj Boże! — lecz pan mnie rozumie?... złe języki, obmowy, jako matka muszę liczyć się...

Zakończyła obietnicą rozpoczęcia na nowo przerwanych lekcji: „gdy pani powróci“.

Ten objaw do reszty zepsuł humor Waleremu.

— Ciekawy jestem, co to kogo obchodzi, czy ja żyję z żoną, czy nie żyję! — wywnętrzał się z oburzeniem przed matką. — Zkąd ich nagle taka moralność opadła?!

Chmurzył się jednak i zamyślał, przerywając sobie wykrzyknikiem:

— Ot, już to baby zawsze ze sobą trzymają!..

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Pani Carreno.—Mała Felecia.—Wielki Słiwiński.—Kwartet czeski. — Lutnia. — Klengel. — Grünfeld.

Fortepian królować będzie wszechwładnie w dzisiejszym sprawozdaniu; główne bowiem fakta muzyczne ostatniej doby za pośrednictwem tego instrumentu przemawiały do uszu i serc naszych. Zanim ponownie mówić będziemy o Słiwińskim, wspomniemy o dwóch jego poprzedniczkach na estradzie, jednej wielkiej i słusznie sławnej, drugiej, drobniaższej i wstępującej dopiero, z wdziękiem i nieświadomością dziecka, na te deski dla jednych straszne, dla drugich podniecające.

Już lat 1 upłynęło od tej pory, gdy pani Teresa Carreno dała się słyszeć w Warszawie. Sprawiała ona już i wtedy wrażenie niezapomniane swą niepospolitą techniką, oraz energią i życiem w traktowaniu wykonywanych kompozycji. Od tego czasu artystka nie tylko zmieniła męża (była bowiem małżonką skrzypka Saureta, a obecnie jest panią fortepianistową d'Albert), ale po części i grę. Nie jest to może zmiana, ile raczej udoskonalenie, które znakomita artystka zawdzięcza częstemu zetknięciu się z publicznością, oraz ciągłej pracy nad sobą. Pomimo bowiem wszystkich zachwytów jakich doświadczamy, słuchając gry lub śpiewu pierwszorzędnych mistrzów, droga postępu zawsze otwarta jest przed nimi, jeśli nie w jednym, to w drugim kierunku mogą oni jeszcze iść naprzód, i nieraz zdumiewać tych, którym się zdawało, że mieli przed sobą wcielenie niedoścignionego ideału. Co do pani Carreno, zadziwiała nas już wówczas rzadkiem rozwinięciem gry oktawowej i w ogóle odbijanej (jeu du poignet), co i dziś pozostało prawdziwą w grze jej specjalnością. Obecnie technika i pod tym względem nabrała większej pewności i szybkości, ale szczególnie pod względem duchowym gra jest interesującą. Taki np. drobiazg jak Kołysanka Chopin'a należał dawniej do słabych numerów koncertu, podczas gdy dziś jest to perełka wdzięku. Nie tylko sama delikatność passażów teraz czaruje, ale i pewna indywidualna interpretacja, niezmiernie ciekawa zwłaszcza przy końcu. Dla dokładnie znających tę kompozycję (a któż z moich czytelników jej nie zna?) przypomni przedewszystkiem, że jest tam, na dwadzieścia taktów może przed końcem, jeden ton mocny (ces), który się z naciskiem powtarza pewną liczbę razy.

Otóż, od tego tonu zakończenie przybiera formę rodzajowego obrazka, którego przebieg według mego przynajmniej rozumienia, tak się przedstawia: Bije któraś godzina wieczorem: „czas spać na dzieci!“ Melodya się zwalnia, dziecko widocznie przyzwyczajone do spoczynku o tej godzinie, zaczyna w sen zapadać. Kołyska porusza się coraz wolniej, coraz wolniej, z pewnemi przestankami, jak gdyby matka chciała się przekonać, czy dziecko śpi. Wreszcie kołyska staje—dziecina usnęła. Z jakąż nieśmiałością pełną wdzięku (aby dziecka nie obudzić) bierze pani Carreno dwa ostatnie akordy! Jest to pomyślane ślicznie i bardzo naturalnie. Nie dziwnym się, że krytyka wiedeńska i berlińska tą interpretacją Berceusa się zachwyciła, i że ktoś z artystów, często słuchających gry pani Carreno, zaraz mi się zapytał o ten utwór, który w każdym niemal jej koncercie figurować musi. Oprócz tej drobnostki (pozornie drobnostki tylko!) wiele duchowego pojęcia okazała pani Carreno w Sonacie Beethowena, w pięknej rapsody Brahmsa, w cudnie zagranym gawocie d'Alberta, nareszcie w wielkim polonezie Chopin'a Op. 53. W tym ostatnim trio oktawowe miało typ specjalny, może u nikogo tak dobrze nie odpowiadający idei autora. Te oktawy suche, krótkie, zaczynane pianissimo, dziwnie ludzaco naśladują tentent koni nadjeżdżającej kawalkady rycerzy. Przyjeżdżają, odbywają małą wędrówkę po szpalerach ogrodu, a potem za wszystkimi wpadają do sali z tanecznym hałasem. Ze przy tak nadzwyczajnej grze nie obeszło się bez nadprogramowych dodatków, o tem nikt ze znających Warszawę, wątpić nie może; wymienimy

specjalnie w tym dziale dwie etiudy, jedną Chopin'a, drugą Henselt'a, zagrane nieporównanie, tak, że co do pierwszej naprzykład, z pewnością nikt jej nie zagra lepiej. Jest to etiuda z tonu Ges dur, N 9 z opusu 25^o.

Występ ten pani Carreno (jedyny niestety!) miał miejsce na wieczorze Towarzystwa Muzycznego, w dniu 13 Lutego. Wieczór następny przyniósł nam nowe wrażenie, dając nam poznać zadziwiające dziecię, które z pewnością z czasem do pierwszorzędnego dojdzie gry. Trudno prawie uwierzyć, aby istotka tak drobna (daję jej lat 7, ale i na tyle nie wygląda) mogła zrobić już taką przyjemność grą swoją fortepianową. Nader komiczne sprawia wrażenie, gdy to kochane bobo gramoli się z trudem na krzeselko, sztucznie podwyższone przez stos książek, jak opiera nóżki na specjalnym wysokim przyrządzie, umożliwiającym jej użycie pedału. Gdy jednak to dziecko grać zaczyna, komika ustaje, i doznajemy dziwnie miłego wrażenia. Słyszymy repertuar nie bardzo trudny wprawdzie, ale przecież już pewnej techniki i wprawy wymagający: jakieś Rondo Haydn'a, jakiś Nokturn Fielda, nareszcie nawet Scherzino Moszkowskiego, i podziwiamy nie tylko pamięć dziecka, ale i pewność z jaką stawia akcenta i sprawność paluszków, i wdzięk, objawiający się we właściwym cieniowaniu, w ładnym seńszeniu przy zakończeniach i przejściach. Słowem, widzimy talent prawdziwy. Naturalnie występ taki jedyny—nsprawiedliwimy tylko chęcią niewinną rodziców i nauczyciela, aby coś tak zadziwiającego pokazać; ale nie pragniemy dalszych, dziecko teraz niech wraca do nauki, a za lat 3, 4, 5 najwyżej, powinno już świat zadziwiać, i wtenczas może już nie będziemy przeciwni jej występom. Rączka jest dobra, nie mała, ton już posiadająca względnie silny, a prowadzona przez nauczyciela wzorowo. Małutka ta wirtuozka nazywa się Felcia Reifman, nauczycielem jej jest pan Oberfeld.

I znów na następnym wieczorze zmieniło się pole widzenia i słyszenia. Wystąpił ponownie Józef Sliwiński i zapełnił swą grą cały wieczór. Oprócz tego występu grał nam jeszcze dwa razy, mianowicie raz na wieczorze kameralnym Instytutu Muzycznego, a raz na własnym koncercie w salach Redutowych. Pomimo olbrzymich programów, przedłużanych jeszcze przez wyjątkowo liczne dodatki, które z hojnością prawdziwie królewską sypie ten artysta, grą jego jeszcze nasycić się nie mogliśmy, a chcielibyśmy go słuchać bez końca. Zdobył on sobie dziś repertuar olbrzymi, zdumiewający; już ze sto sztuk z tego zapasu przesunęło się przed nami, a bogactwo jego wcale jeszcze nie jest wyczerpane. W wykonaniu panuje wszędzie też sama szlachetna siła, też sama subtelność szczegółów, też sama pewność w najszerszych planach, która stanowi największy urok gry znamienitego pianisty. Najbardziej tę jasność podziwiać mogliśmy w tak olbrzymim dziele, jakim jest fantazyja Schumanna: żaden tu szczegół nie zginął, wiele nowych na jaw się wydobyciło, technika w części środkowej imponowała energią, nie zatracającą żadną szorstkością. Jeszcze raz powtórzona Sonata Chopina, wielkie wariacje (32) Beethowena, fantazyja Chopina, Sonata trzecia Beethowena, należały do dzieł obszerniejszych, które na tych trzech wieczorach słyszeliśmy. Prostota, z jaką traktuje artysta te wielkie dzieła, logika frazowania, świadczą o duchowej pracy nie małej, jaką ten mistrz musi sam z sobą przechodzić w czasie przygotowywania swoich uczt artystycznych; wszystko to jest obmyślane, mechanizm, choćby najbardziej zawikłany, nigdy nie wysuwa się na pierwszy plan, nigdy nie jest celem, a zawsze tylko służy myśli. Przytem jest to jeden z tych rzadkich artystów, który żadnej kompozycji nie wynaturzy, żadnemu autorowi nie włoży w usta słów, których powiedzieć nie chciał. Zasługa to niezmiernie rzadka przy grze tak potężnie rozwiniętej. Co do Chopina, to nie tyle nas zachwycają pojedyncze kompozycje, ile sam *sposób* ich traktowania, tak zgodny z charakterem Chopinowskiej twórczości. Właśnie Chopin nie lubił affektacji, sztucznego patosu, koturnów. I takim się też przedstawia u Sliwińskiego. Wielka jego fantazyja wybornie wyszła z pod palców artysty z prawdziwą swobodą improwizacji i wielce poetycznie otworzoną częścią środkową. Drobiazgi, jak walce, nokturny, mazurek a moll zwany „żydkiem“, bywały czarujące. W niektórych mazurkach

rytm trochę za mało wydał nam się zaakcentowany. Jedna z etiud (a moll) szalała jak burza, druga skarżyła się rzewną, śpiewną melodią. Słowem, dorósł nam Sliwiński do olbrzymiej potęgi. Aby grał teraz w Warszawie po raz ostatni, wierzyć nie możemy; według naszego zdania powinien dać jeszcze kilka koncertów, zanim w dalszą puści się wędrówkę.

O teatrze pisać tym razem nie bierze mię ochota. Nic się tam nie zmieniło, nie przybył żaden gość nowy, żadne nowe dzieło nie przesunęło się przed naszym słuchem. Nawet pani Borghi wyjechała — nie pożegnana przez waszego sługę. Mimo znamienitych zdolności aktorskich tej artystki, nie mogłem się zgodzić na słuchanie osoby, tak już mało posiadającej głosu. Pan Cardinali również nie należy do tych artystów, których byśmy mieli ochotę psuć naszymi względami. Jego sposobu śpiewania znosić nie umiem, lubo miewa wieczory lepsze, a szczegółniej chwile w tych wieczorach (np. w „Żydówce“) szczęśliwe. Pani Bonaplata-Bau śpiewa ciągle i cieśzy się zupełnie zasłużoną sympatją słuchaczy — kilku artystów, chorych na influenżę, w przymusowym odpoczynku szukają na tę dolegliwość pociechy. W Małym teatrze, wogóle mniej czynnym w tym roku, wystawiono udatną operetę Offenbacha „Perichole“ i wznowiono tegoż „Małżeństwo przy latarniach“. Fakta te nie są wielkiej doniosłości.

Z Lipska i Drezna dochodzą nas echa niesłychanego zapału, jaki obudził swą grą i kompozycją Paderewski. Oto jeszcze jeden mistrz, którego słyszeć pragniemy. Wszakże nawet niemiecka krytyka przyznaje mu wyższość nad wszystkimi. W interpretacji dzieł Chopina, Schumanna ma być niezrównany; poezją gry czaruje, mechanizmem fenomenalnym zdumiewa. Przytem skromny, szlachetny, naturalny, bez cienia przesady. Jego fantazyi polskiej z orkiestrą przyznają wartość niepospolitą. Przy tem jaki wspaniałomyślny! W Lipsku grał na pomnik Liszta, w Dreźnie honorarium całe oddał dla wdów i sierot po artystach. Kończy on właśnie operę, osnutą na tle stosunków tatrzańskich, której świat z niecierpliwością oczekuje.

W ostatniej chwili dowiadujemy się, że znany i kochany przez nas artysta muzyk i kompozytor, były dyrektor Towarzystwa Muzycznego Krakowskiego, oraz „Lutnia“ Łódzkiej, Stanisław Niedzielski, rażony nagłą kilkodniową chorobą, przeniósł się do wieczności. Wielka to strata dla sztuki, bolesna dla tych, co go znali.

Z powodu niemożności umieszczenia artykułu w zeszłym tygodniu, dopisujemy jeszcze słów parę.

Należy się ponowna wzmianka kwartetowi czeskiemu, który w dniu 11 marca koncertował u nas po raz trzeci. Tym razem sala Muzeum przemysłu i rolnictwa była szczerze zapełniona i rozbrzmiewała ogłuszającymi oklaskami. Najbardziej zachwyconą była publiczność wykonaniem wariacji w cesarskim kwartecie Haydn'a, oraz całego kwartetu Grey'a. W pierwszych wykazali wykonawcy znakomitą subtelność w delikatnych odeśnieniach, w drugim polot i fantazyę rzeczywiście rzadką. Aby to móż wykonać z taką werwą i precyzją, potrzeba aby w czterech grających przebywała jedna dusza; potrzeba aby cały kwartet był traktowany jak genialna improwizacja i aby kapryśne zwroty tworzącej go fantazyi były uwydatnione z całą swobodą. Z pewnością w tem dziele igra sobie autor z formą oraz z powagą, jakiej oczekujemy od dzieła kameralnego; ale te jego wybryki przebaczymy mu chętnie, ze względu na świetną przyszłość i na tryskające zewsząd życie. Szczególniej trzy pierwsze części są pod tym względem wielce interesujące; finał jest słabszy, lubo także ten sam typ greyowski posiada.

„Lutnia“ dała swój pierwszy w bieżącym roku koncert dnia 8 marca. Jak na Wielko-postną przystało porę, program obejmował sporo numerów kościelnych, jak: „Powszednia spowiedź“ Wacława z Szamotuł, jak „bone Jesu“ Palestriny, „Requiem“ ze mszy Moniuszki, „Sanctus“ Liszta, Modlitwę staroniderlandzką (śliczna) Kremera i tegoż hymn do Madonny. Na tle tych pięknych lub interesujących numerów, wykonanych bądź przez chór męszany, bądź mężki, dziwnie szaro i bezbarwnie wyglądało. Stabat Mater Laetimera na chór żeński, kwartet smyczkowy (bez skrzypiec) i fisharmonia. Dawno nie słyszeliśmy kompozycji tak nudnej i tak bezbarwnie ułożonej. Oprócz jednego lepszego

numeru wszystkie są blade, bez rytmu, rażące monotonią nie tylko myśli ale i formy, oraz zbyt częstem unisono w głosach. Solistą na tym wieczorze, oraz na wieczorze Towarzystwa Muzycznego był wiolonczelista Klerych, który zdumiewał techniką i pozostawił niezatarte wspomnienie Sonaty (skrzypcową) Locetell'ego, wykonaną świetnie. Mniej był szczęśliwym w dziełach śpiewnych i ton jego, po wiem, nie jest pełny i ekspresywie zbyt chłodne. Na ostatnim wieczorze środowym zachwycał licznie zebraną publiczność pianista Grünfeld grą pełną elegancji i wdzięku. Znając go już dobrze, nie spodziewamy się od niego dramatów i patosu, ale podziwiamy jego świetną technikę, oraz życie i humor, tryskające z każdej nuty.

Jan Kleczyński.

Maryja Irena Huntington.

Szlachetnego życia obrazy to nie tylko wzory dobre, duch podnosi się w nas górnie uczuciem tej dumy wzniosłej, że istota ludzka ma przed sobą szerokie pole działania — drabinę Jakubową, przez którą ziemia z niebem się styka. A nie trzeba na to konieczne czynów bohaterskich; życie w warunkach istnienia cichych i spokojnych wzniosłem być może i zaznacza się wpływem wybitnym w otoczeniu swoim. Kobieta ma też tutaj pole równe z mężczyzną, w odmiennej formie daje jej ona niemniej możność spełniania rzeczy, stanowiących zasługę społeczną, jak tego przykłady ukazują nam nieraz życie. Wnuczka para Wielkiej Brytanii lorda Rossmore, córka pułkownika Western, Maryja Irena Huntington, nosząca imię szlachetnej swej prababki, która w czasie smutnych dramatów domowych wojen Irlandyi z Anglią zaznaczyła się bohaterską obroną obleganego przez anglików zamku Rossmore, a w którym Maryja Irena przysłała na świat i wzrastała, przejmując się duchem tradycyi długiego szeregu szlachetnych przodków, więc podnosiła się duchem po nad ciasną formę zwykłego życia bogatej, dostatkami otoczonej panny.

Obdarowana przytem wyższym talentem muzycznym, oddawała się z zamiłowaniem szczególnem poważnej muzyce kościelnej, w dni świąteczne grywając w kościele na organach, co jednało jej wielkie poszanowanie i miłość ludu, gorąco w Irlandyi pobożnego. Fortepian został też wkrótce zastąpiony i w domu przez harmonium; w niedziele wieczorami grywała na niem zebranej służbie dworskiej, a gdy raz dostrzegła że pod oknami stoi gromadka słuchaczy wiejskich, kazała ich przyzwać do siebie i odtąd niemal co niedziela odbywały się te koncerty poczeiwe, a obok tego rozwinał się w niej talent drugi. Studyjując muzykę ludową, dobrała się do skarbcza legend i rozmiłowała się w nich, zaczęła je zbierać, zaczęła je obrabiać i dar poezyi ukazał się teraz w tym stopniu już wyższym, że utwory jej zwracały na siebie uwagę publiczności irlandzkiej, zwłaszcza że nastrój ich swojski sympatycznie do nich pociągał.

Przystając z ludem, pokochała też jego dzieci i pierwszy zbiorek, który tworzył już książkę, był im poświęcony a tak doskonale odpowiadał przeznaczeniu swemu, że ministerium oświaty zwróciło się do autorki z żądaniem nabycia ich na własność publiczną dla użytku szkółek gminnych, na co przystała, lecz nie żądając żadnego honorarium zawarowała dla siebie przy wydaniu ich każdym ilościę pewną, którąby szła bezpłatnie w najuboższe okolicie górskie, gdzie pastuszkowie więcej śpiewają je dotąd, budząc echa wyżyn i dolin, budząc sobie w sercach to odczucie piękna, które Bóg wlał w każdą niemal pierś człowieka, które przecież trzeba tam rozbudzić.

Wielkie zamiłowanie ogrodnictwa stało się w tej pani niemal enotą obywatelską, bo należy to do wysokich jej zalet, że wszystko, czem się zajmuje, musi mieć jakiś związek z dobrem ogółu. Rozbudzać w piersiach ludzkich gusta szlachetne—to zawarowała przystęp używaniu przyjemności lichych

i niskich, ona też pojmująca to rozumnie zapragnęła, aby ludność wiejska jej dóbr, kobiety zwłaszcza polubiły ogrodnictwo w tej jego części, która z pięknem estetycznym się wiąże, daje zadowolenie miłe i uszlachetniające już przez to, że podnosi nad realne tylko, materialne strony życia. Z tym zamiarem zawiązała w dobrach swoich towarzystwo ogrodnicze, którego pierwszym członkiem się stała, a które obejmuje obok hodowli drzew owocowych, hodowlę kwiatów. Parę grządek ziemi w ogrodzie koło chaty nie czyni żadnej ujemy gospodarstwu praktycznemu, a podnosi te strony uszlachetniające istotę ludzką, przez które zwraca się ona w stronę nie materialnego tylko ideału. Marya Irena wyłuszczyła to w pięknej odezwie do pań ziemianek swojej okolicy, aby zawiązywały u siebie podobne stowarzyszenia, jak się też stało w wielu miejscowościach przyległych i niewątpliwie rozszerzy się nie tylko w tym obrębie, bo księżna Walii zainteresowała się tem wielce i zapragnęła poznać warunki stowarzyszenia, których regulamin przesłanym jej został.

Tak to z ziarenka jednej myśli dobrej wyrasta krzew, którego nasiona idą w grunt życia, a gdy raz uczucie nasze zapragnie się podnieść nad ciasny obręb zaspakajania własnych tylko potrzeb, serce i umysł rozszerza się w nas i zdobywamy się na coraz nowe pragnienia i pomysły czynienia dobrze, ubogacania ludzkości w instytucje i przykłady, wiodące do udoskonalenia w nas człowieka. Matka trzech synów a na nieszczęście wdowa, nie mająca do pomocy współdziałania męskiego kierownictwa, męskiej wiedzy różnych stron życia, umiała przecieć wychować ich dobrze — wychować ich do zdobywania sobie takiego szczęścia, któreby się opierało przez szlachetne pojęcie przeznaczeń ludzkości na tej najwyższej enocie, która jest zdolnością czujnego spełniania obowiązków swoich. Poznać je i ukochać to grunt, ale niemniej trzeba tu tej pomocy, która by pozwalała ideom, zrodzonym w dziedzinie ideału, wcielać się w życia czyny realne, czemu potrzebuje tu stanąć do pomocy nie tylko wola dobra.

Siły tu potrzeba, siły ciała obok siły ducha — lady Huntington wiedziała, że wychowanie dzieci tkliwie kochanych nie było więc otoczone temi rozmiękczającymi pieścotami, wygodami temi, które zniedołężniają człowieka przez odebrany mu hart dzielności fizycznej i moralnej, bo dwie te moce istoty ludzkiej są ze sobą w związku bardzo silnym. Córkę jedynaczkę, dobrze, rozumnie wychowywaną pod jej własnym kierunkiem, wydała za mąż szczęśliwie, ale trudniejszym zadaniem było wychowanie synów, umiała przecieć i tu sobie poradzić, choć grać tu mogły w piersi młodej namiętności gwałtowne, jako dziedzictwo rodowe. Lordowie Huntington pochodzili w prostej linii od Robina Hood, burzliwego, gwałtownego człowieka, który za panowania Ryszarda 1-go, wyjęty z pod prawa za namiętne, samowolne postępowanie zbiegł w gęstwiny lasów, tworzących w owe czasy knieje nieprzebyte, gdzie wiódł życie na poły rozbójnika, na poły bohatera, które posłużyło Szekspirowi za tło wspaniale pięknego dramatu. Podanie niesie, że banda jego składała się ze stu łuczników, tak wywieszonych w rzemiośle swoim, tak silnych, że pierzchały przed nią oddziały wojska cztery razy tak liczne, a zastępy te rozbójnicze stawały się obroną słabych i ubogich, obroną kobiet samotnych, a łupy, pobrane z zamków i pałaców magnackich, służyły na wsparcie ubogiego ludu, wasali uciśnionych przez mocą panów swoich.

Wskreszanie tych tradycji starych, złączone z pamiątkami, które lady Huntington z prawdziwym pietyzmem przechowuje, ma znaczenie nie małe dla ludzi dzisiejszej doby wieku. Wszystko w koło nas uregulowane jest systematycznie i wzięte pod pewien strzechulec, dobrze też jest zwłaszcza dla wyobraźni młodej, gdy przedstawi jej się coś wybiegającego po za tor życia ubity i w tem właśnie tkwi zasługa tej pani, że potrzebę tę zrozumiałszy, dała taki kierunek literackiej pracy swojej, a mimo wysokiego stanowiska nie zamknęła się w kaście, do której należy, co wykazuje, że cały jej kraj interesuje ją gorąco. Aby dzieła jej mogły się znaleźć w rękach czytelników klas niezamożnych, wydała je w trzech edycjach, z których ostatnia, oddana wyraźnym, dobrym drukiem i mieszcząca też ryciny, okazała się stosunkowo do obszerności

i przedmiotu swego najtańszą książką angielską naszego czasu i autorka doczeka się też niewątpliwie tej przez wieszczkę naszego upragnionej pociechy, że książka jej znajdzie się i w chatkach pod słomianą strzechą, jakie w Irlandyi jeszcze spotkać można.

Jako literatka nie stoi ona w tym pierwszym rzędzie pisarzy, których utwory liczą się do skarbów piśmiennictwa, ale zasługa jej obywatelska daje jej to miejsce w społeczeństwie, a że umiała obok tego zyskać sobie szacunek ludzki, jako uczciwa, czyste życie kobieta, przedstawia to razem postać szlachetnie piękną, o której dobrze jest wiedzieć, aby powtórzyć za poetą, że choć to życie idzie po grzędzie, jak Bóg mi miły, dobrzy są ludzie.

M. I.

Kronika działalności kobiecej.

— Ministerjum rolnictwa pragnąc rozpowszechnić między kobietami wiejskimi i mieszkankami małych miasteczek wyrób domowy płótna i tak zwanych wełniaków, zamierza zakupić znaczną ilość kołowrotków, na których przedzono by len i konopie, oraz wełnę w okolicach, gdzie przemysł ten nie został jeszcze podjętym.

— Celem ułatwienia kontroli nad nabiałem, przywożonym do Warszawy i miast innych, władza miejska nakazała osobom dostawiającym go, aby na naczyniach w których mieści się mleko, lub śmietanka, widniały napisy odpowiednie. Ze przecieć nie bywa to dopełnianem, polecono wójtom gmin podmiejskich, aby dozór był w tym kierunku odpowiedni. Wykonywanie tych przepisów obustronnie odpowiedzialnością sądową.

— Warszawa Rada miejska dobroczynności publicznej zatwierdziła zapisy testamentowe ś. p. Apolonii Zalewskiej, legującą: 1.000 rs., dla War. Towarzystwa Dobroczynności, 1.000 rs., dla chrześcijańskiego szpitala dla dzieci i 1.000 rs., dla Przytułku paralityków imienia Feliksa Sobańskiego. Rada zatwierdziła również zapis ś. p. Dąbrowskiej, legującą 150 rs. War. Tow. Dobroczynności.

— Z zapisu ś. p. Emilii Matyasek trzy wdowy niezamożne po artystach muzycznych, którzy byli członkami Towarzystwa wzajemnej pomocy artystów, oraz ich wdów i sierot, otrzymały wsparcia: jedno w summie 35 rs., dwa po 20 rs. Do grona członków rzeczywistych weszło pań dziesięć, a to: Borzęcka Apolonia, Borzęcka Helena, Babel Marta, Chęcińska Zofia, Dydyńska Jadwiga, Fijałkowska Stanisława, Hertzler Marya Ludwika, Mestenhauser Chęcińska Franciszka, Narożna Antonina, Niklewicz Janina, Oksiuk Helena.

— Prezesową bardzo użytecznej i bardzo samej jej instytucji Schronienia dla sług, jest od samego jej założenia księżna Włodzimierzowa Czetwertyńska; Wice-prezesową została obecnie p. Katarzyna Szwedowa.

— Komitet pań Towarzystwa opieki nad zwierzętami wygłosi w ciągu wielkiego postu nową serję odczytów z celem takim, jak poprzednio, a to na druk i rozdawanie bezpłatne broszurek o litościwem obchodzeniu się ze zwierzętami. Jest to umoralnienie ludzi.

— Na smutny brak filantropii pracy kobiecej, a to we wznoszenia ochron, zaliczyć trzeba okrutny wypadek, zaszły d. 25 zeszłego miesiąca w powiecie płockim, w osadzie Bielsk. Emilia Chojnacka, wdowa, wyszedłszy z domu zostawiła samotnie jedynasto-miesięczne dziecko w kołysce; w izbie przebywające też prosię wyjadło część twarzy dziecka, które umarło w cierpieniach okrutnych.

— W d. 1 bieżącego miesiąca uczestniczki komitetu Kolonii letnich zapisały na liście kandydatów 270 dzieci, a to 137 chłopców i 133 dziewczynek. W d. 2-im zapisano 341 dzieci: 157 chłopców, 194 dziewcząt. Ogółem zapisano 611 dzieci: 294 chłopców, 317 dziewczynek. Rodzice obowiązani są przychodzić z dziećmi. Superrewizya lekarska odbywać się zacznie z d. 1-ym kwietnia, trwając do 9 maja, dokonywana codziennie przez czterech lekarzy; udział

w pracy przyrzekły p.p. Higersbergowa Wanda, Krysińska Jadwiga, Szadkowska Wiktoria, Żurkowska Marya. Prace przygotowawcze już się rozpoczęły; szyje się bielizna i odzież przeznaczoną dla dzieci. Przesłano też zapytanie do czterestu ziemian, którzy w roku zeszłym spełnili dobry uczynek przyjęcia tych biednych malec, czy i w tym roku nie odmówią im gościny?

W ostatnich dniach Stycznia odbyło się w Poznaniu posiedzenie Towarzystwa przyjaciół nauk, na którym podjęto ważną kwestyą dopuszczeniu tu kobiet, zgłosiła się bowiem w tym czasie do wydziału lekarskiego kobieta, posiadająca patent skończonych studiów medycznych, więc mająca wyższą już kwalifikacyą naukową i czyżby osobie takiej przystęp do Towarzystwa mógł być zamkniętym? Sprawa ta zostanie rozpatrzona i rozstrzygnięta na walnem zebraniu Towarzystwa.

— W skutek inicjatywy p. Maryi Siedleckiej wniesiono do namiestnictwa galicyjskiego podanie o otwarcie w Krakowie czytelni wyłącznie dla kobiet i urządzenia tam zarazem odczytów naukowych. Namiestnictwo przychyliło się do tego żądania.

— Na konkursie dramatycznym we Lwowie, ogłoszonym przez wydział galicyjski, polecono do grania dramat p. Wandy Dalewskiej z Warszawy. Tytuł dramatu „Las.“

— Na wystawie poznańskiej mającej się otworzyć w maju, urządzonym będzie dla oddziału pracy kobiecej komitet oddzielny, któremu przewodniczyć będą panie: dyrektorowa Kuzstelan (ulica Ludwika, Nr. 2) i profesorowa Jaroszyńska, małżonka malarza. Do tych to pań zgłaszać się należy jak najrychlej osobom pragnącym wziąć udział w wystawie.

— W Zurychu podniesiono na zebraniu rady kantonowej kwestyę dopuszczenia kobiet do zawodu adwokackiego. Przemawiał tu adwokat sekretarz rady, Greulich, wykazując, że są sprawy dotyczące kwestyi życia kobiet, które kobieta zrozumie lepiej i które klientki szczerzej i dokładniej przedstawić jej mogą. Nie podniósł się też żaden głos oponujący, a władze rządowe wydelegowały komisję specjalną do zbadania tej sprawy, która zostanie też rozstrzygnięta przy rewizyi ustaw o adwokaturze.

— Angielka szlachetnego serca, miss Anna White, otrzymała medal brązowy i adres dziękczynny od Towarzystwa ludzkości: „Human Society“, za uratowanie dziecka tonącego w rzece.

— Miss Montgomery, pochodząca z wyższej i zamożnej klasy społeczeństwa irlandzkiego udaje się na Wschód jako misionarka—lekarka. Przed odjazdem zapragnęła przemówić w Dublinie do kobiet swego narodu, wykazując, iż można być misionarką wysoce zasłużoną religii i moralności we własnym kraju. Miss Montgomery spotka się wśród dzieł miłosierdzia, spełnionych na dalekiej obczyźnie z niemałą liczbą wychodźców irlandzkich.

— Miss Alicya Ravenhill, należąca do Narodowego towarzystwa zdrowia, wygłosiła w Londynie w sali tegoż Towarzystwa odczyt. „Zdrowe mieszkanie“, wykazując jak uważna i pojmująca znaczenie rzeczy matka rodziny baczyć tu powinna na warunki higieniczne. Bardzo wiele znaczy odpowiednie urządzenie i zajęcie się uzdrowotnieniem mieszkania, czego środki przedstawiła prelegentka słuchaczom. M-rs Wilson przemawiała następnie też w sali wymienionego Towarzystwa o medycznym wykształceniu kobiet, podając jego historię i korzyści dla społeczeństwa, zwłaszcza gdy je posiadają matki i nauczycielki, gospodynie rodzin, które wtedy umieją się obchodzić tak z dziećmi, aby organizm rozwijał się dobrze, otrzymując od wychowawców potrzebną tu pomoc, a żywotne siły osób dorosłych podtrzymywane były w skutek higienicznie wiedzionego życia.

— M-rs Plumtre ułożyła na wezwanie Brytańskiego stowarzyszenia niewidomych dykcjonarz drukowany wypukłymi literami. Opisy przedmiotów, których oko nie widzi, muszą być oddane plastycznie, z pewną malowniczością i kolorytem żywym. Autorka pracowała nad tem dziełem blisko lat cztery i to po trzy, często po pięć godzin dziennie a dodać należy że praca to poświęcona jedynie miłości bliźniego, ponieważ pani ta jest zamożna i nie przyjęła żadnego honorarium ze względu, aby wydawnictwo mogło być tanie.

— Dzieła miłości bliźniego, gdy są podjęte z uczuciem czystym i prawdziwym, rozwijają się prawie zawsze szczęśliwie. W 1878 trzy panie niezamężne: miss Morley, miss Willby i miss White założyły w 1878 r., w Londynie „Dom dla dziewcząt pracujących, a nie mających rodziny,“ a instytucja ta wielce użyteczna zyskała sobie prędko poparcie ogółu, który znaczenie jej zrozumiał i obecnie jest w Londynie domów takich dziewięć, mieszczących 502 pensyonarek, otrzymujących tu całe utrzymanie za bardzo tanią opłatą. Każdy z domów tych zostaje pod zarządem matrony zacnej i rozumnej, czuwającej nad moralnością i zarządzeniem domu, do którego przyjmuje każdą uczciwą pannę czy wdowę, liczącą lat dwadzieścia pięć wieku. Zakład ten wielkiego pożytku, nie ma przecież żadnego stałego majątku i utrzymuje się przeważnie z darów ludzi dobrej woli, rozumiejących znaczenie takiego domu w wielkim mieście, do którego ściągają się za pracą wiele młodych, samotnych kobiet, którym godzi się padać rękę pomocy.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż do rady państwa ma być wzniesiony wkrótce przez ministerium rolnictwa i dóbr państwa, projekt urządzenia stacji agronomicznych. Ministerium wymienia osiem miejscowości odpowiadających tu potrzebom wymagalnym. Ministerium zamierza wytworzyć w różnych miejscowościach osiem takich stacji doświadczalnych.

— „Wiadomości Petersburskie“ podały w łamach swoich, iż główny zarząd więzienny przedsięwziął reformę poprawczych kolonii dla małoletnich przestępców, co łączy się z reformą sądu nad małoletnimi, podjętą przez ministerium sprawiedliwości.

— Ósma sesja petersburskiej rady rolniczej obradowała nad skutkami działań towarzystw rolniczych, wpływających korzystnie na rozwój gospodarstwa wiejskiego. Departament rolnictwa opracował obszerny referat, wykazujący potrzebę zawiązywania towarzystw nowych, które miałyby prawo otwierać gubernator miejscowy. Obecnie jest w Rosji 138 stowarzyszeń takich z sześćdziesięciu oddziałami.

— Grono lekarzy warszawskich obradowało na zebraniu Towarzystwa Lekarskiego nad użytkowaniem naukowego materiału, jakiego dostarczyć może badanie dzieci wysyłanych na kolonie letnie i powracających. Rozszerzona w kierunku tym wiedza mogła by się stać i dla matek pomocą w wychowaniu.

— Warszawski dom sierot po robotnikach, mieszczący się przy ulicy Litewskiej Nr 14, został szlachetnie obdarowany przez p. Konstantego Rudzkiego, byłego właściciela fabryki akcyjnej, a obecnie Towarzystwa akcyjnego „Rudzki i Spółka,“ summa 10,000 rs. na fundusz żelazny tej dobroczynnej instytucji. Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności otrzymuje również od magistratu zapomogę 3,600 rs. lecz potrzeby zwiększają się coraz w skutek zwiększania się ludności. Dodano też Towarzystwu 200 rs. rocznie.

— Czyny dobre, czyny ludzkości i miłosierdzia nietylko wspomagają potrzebujących tego, ale umoralniają ludzi przez przykład, jaki dają. Włościanin, Antoni Cibor, z osady Kopeć w powiecie Rżyckim, złożył w tych czasach dar 150 rs. na rzecz Tow. Dobroczynności wykazujący, że wieśniak zaczyna się czuć obywatelem. Kolonie letnie rozbudziły w ludzie wiejskim poczucie obowiąz-

ków miłosierdzia, jak to zauważyło już wiele osób. Idea, której nie znalazł stanęła mu przed myślą.

— W zakładzie starców, mieszczącym się w obrębie Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności, przebywa 109 mężczyzn a 250 kobiet.

— Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych przesłało zarządowi miejskiemu do rozpatrzenia projektu i szkice budowy domu Towarzystwa, skreślone przez dwóch budowniczych: Stefana Szyllera i Mikołaja Tołwińskiego. Magistrat uznał je za odpowiednie pod względem wszelkim. Budowla stanie na gruncie miasta, przy ulicy Królewskiej.

— Ruch budowlany w Krakowie zapowiada się z nadechodzącą wiosną bardzo żywo; ceny gruntu znacznie się podniosły, nieopodal rynku jakkolwiek już za plantacyami metr kwadratowy gruntu płaci się po sto zł. reń. Burzą się też domy stare, wznosząc na ich miejsce nowe, podnoszą się przecież liczne skargi, że styl ich nie odpowiada warunkom estetycznym, a zarazem zaciera się to piętno, które czyniło Kraków miastem charakterystycznym.

— Akademia francuzka przyjęła zapis 10,000 franków uczyniony z celem, aby odsetki użyte były na nagrodę enoty. Jest to już dziewięćdziesiąty dziewiąty legat taki od 1782 r., w którym Montyon uczynił zapis pierwszy. Ludwik Halévy przemawiając o tem na zebraniu akademii, postawił pytanie, czy jest obecnie więcej niż poprzednio osób enotliwszych? Odpowiedź, oparta na rozmaitych obrazach życia Francji, nie potwierdziła tego bynajmniej i mówca zakończył rzecz zdaniem, że enota potrzebuje innych bodźców, niżeli wszelkie nagrody takie. Nagrodą enoty jest to uczucie żeśmy jej wiernie i bezinteresownie służyli w miłości bliźniego.

— Śmierć zabrała nam artystę z talentem wyższym, twórcę posągu Chrystusa na krzyżanku kościoła Sw. Krzyża, Andrzeja Pruszyńskiego. Kształcił się on najpierw pod kierunkiem Wład. Oleszczyńskiego, następnie w Rzymie, w akademii Sw. Łukasza; do zaznaczających się również dzieł jego należy statuetka Sw. Stefana, wykonana na konkurs, ogłoszony przez War. Towarz. Sztuk Pięknych, zrazu odlana w gipsie, następnie wykonana w bronzie, mieści się w zbiorach Towarzystwa, ale u nas sztuka, której się poświęcił, nie może dla warunków rozmaitych rozwinąć się tak, jak malarstwo. Pruszyński urodził się w Warszawie 1836 r., uczęszczał tu również do gimnazjum realnego, ale ideał był w nim, w duchu jego. Sierota znalazł snadź dobrą opiekę, bo nie wzięwał sobie życia wykołajaniem się z powołania swego; Akademia Sw. Łukasza przyznała mu za posąg Merkurego medal pierwszy. W kraju znajduje się też wiele dzieł jego. W kościele po-wizytkowskim mieści się nagrobek dziejopisarza Bartoszewicza, w gmachu miejskiego Tow. Kredytowego posągi alegoryczne, przed kościołem Sw. Karola Boromeusza brązowy posąg, Matki Boskiej Łaskawej, w kościele Wszystkich Świętych posągi ŚŚ. Pawła

i Piotra, nagrobek Pauliny Krakowowej, oraz Gustawa Zielińskiego, autora „Kirgiza“ w Skępem, aż spozczał sam na ementarzu powązkowskim, gdzie jest dzieł jego liczba znaczna.

— Zarząd Krakowskiej szkoły sztuk pięknych obejmie Julian Fałat, urzędowe aktu tego dopełnienie nastąpi przecież dopiero z d. 1-ym maja, w którym to terminie usuną się najsędziwsi wiekiem profesorowie, a między nimi Wład. Łuszczkiewicz, obecnie dyrektor muzeum sztuki w Sukiennicach.

— Wyszedł rocznik Krakowskiej Akademii Umiejętności za rok ubiegły. Obok wykazanego składu Akademii i jej protektoratu, oraz członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, podanem jest sprawozdanie z publicznego posiedzenia Akademii, z jej wydanietw, oraz wykaz konkursów i nagród, wreszcie streszczenie odczytu dr. Ulanowskiego „Wies pod względem prawnym od XV do XVIII wieku“. Zamyka rocznik wykaz stosunków Akademii z innymi instytucjami naukowymi.

M Y Ś L I.

— Piękno nie wyłącza tego, co jest w życiu użytecznym a przeciwnie chce, aby środki stosowały się do celów i to tworzy harmonią. Piękno, tak pojęte, przestaje być dla nas czemś stojącym po za wewnętrzną naszą istotą i staje się jakoby jej rozkwitem, życia naszego kwiatem.

— Uczucie nie jest w istocie naszej biernem, nie jest jedynie kontemplacyjnym, lecz przeciwnie rozbudza w nas siły czynne.

— Czysto egoistyczne szczęście epikurejczyków jest niemożliwością, jest urojeniem, gdyż wszystkie uciechy ludzkości są zawsze mniej więcej społeczne. Egoizm zamiast być utwierdzeniem, zubożeniem istoty naszej, staje się przeciwnie ograniczeniem jej i oszpecceniem.

— Natura sztuki tłumaczy nam jej przyszłość. Gdyby sztuka rozbudzała w nas jedynie grę wrażeń, można by się lękać, że zniknie z czasem w obec postępu nauki i przemysłu, lecz jeżeli przeciwnie traktuje poważnie życie we wszystkich jego objawach piękna—jeżeli najwyższym jej celem jest przyspieszać gorętsze bicie serca ludzkiego przez wrażenia szlachetnych wpływów piękna tego, musi się zespolić tak z duchowem jak i materyalnem istnieniem ludzkości.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Za cudzą winę**, przez autorkę powieści „Silny duch“. Przekład z niemieckiego ark. 7 i 8.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w roku przyszłym wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — **Kobieta w Stanach Zjednoczonych.** III.—**Bluszcz**, obrazek z życia rodziny, przez Maryana Gawałowicza (dalszy ciąg).—**Ruch muzyczny**, przez Jana Kleczyńskiego.—**Marya Irena Huntington**, przez M. I.—**Kronika działalności kobiecej.** Z bieżącej chwili.—**Myśli.**

Dodatek obejmuje: **Za cudzą winę**, powieść przez autorkę powieści „Silny duch“, przekład z niemieckiego arkusz 7 i 8—Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.